

23.09.2011

Szczebrzeszyn okresu międzywojennego

autor: Jan Jurczykowski

W pobliżu rzeki Wieprz znajdowała się mała chałupka Józwiakowskich, w której mieszkało aż 20 osób – dwoje rodziców, szesnaścioro dzieci i dwoje wnucząt – rodzina ta nosiła przezwisko „Szesnastka”.

Idąc od ich chałupki po mostku na rzece Śwince, przechodziło się do budynku rzeźni. Pierwszy budynek to była ubojnia dla bydła, drugi – dla świń. Po przeciwnej stronie rzeźni w kierunku miasta był duży młyn, który należał do Żydów. Za młynem, nad rzeką była studnia artezyjska.

Plac przed młynem zajmowało składowisko drewna, które przywożono do tartaku – stał on niedaleko od młyna. W tartaku przecierano drzewo na tarcicę o różnych wymiarach oraz wytwarzano gonty. Właściciele młyna trudnili się usługami dla miejscowej ludności i handlem drzewem (teraz w miejscu tartaku są budynki mieszkalne i targowisko).

Nieopodal kamieniczki Fleischera był drewniany, piętrowy dom – mieszkała tam cała żydowska rodzina. Dom kahalny na górze stoi obok synagogi; w tych budynkach na górze mieszkali Żydzi. Tam wyżej był sad kahalny.

W nowo wybudowanej hali na 100 straganów, które stały w czterech rzędach jeden zajmowali Polacy – sprzedawali na nich mięso; tam również gospodynie z okolicznych wiosek sprzedawały mleko, sery, osetki masła i okopowe. Żydzi zajmowali trzy rzędy straganów i sprzedawali: wołowinę, wszelkie artykuły spożywcze, materiały bławatne, gotowe ubrania i kożuchy.

Najbardziej atrakcyjnym dniem tygodnia był wtorek – dzień, w którym odbywał się jarmark. Zjeżdżali do miasteczka handlarze z całej okolicy. Na targowisku przy ulicy Frampolskiej handlowali końmi, krowami, owcami, świniami, zbożem. Tak było z rana. Koło południa handlujący zjeżdżali do miasta, ustawiali się wokół ratusza; gdy zabrakło miejsca ustawiano się na wszystkich ulicach wokół rynku. Tyle było furmanek konnych, że trudno chodziło się po ulicach.

Koń, który gryzł lub kopał, miał przywiązaną do łba wiecheć słomy – to był znak, że obok niego trzeba ostrożnie przechodzić. Był utrudniony przejazd ulicami, to wywoływało kłótnie, a nawet bójki. W rynku różni rzemieślnicy prezentowali swoje towary. Na specjalnych drewnianych stojakach wisiła odzież, która prezentowali krawcy, szewcy zachwalali wykonane przez siebie buty.

Wielu handlarzy to przyjeżdżało z Tyszowiec – przywozili buty z cholewami tak zwane tyszowiaki. Były to buty na zimę. Przy takich stoiskach był zawsze kowal, który te buty okuwał. Sprzedawano też męskie kożuchy z baraniej skóry o długim włosiu i damskie z krótkim włosiem haftowane we wzory różnokolorowymi nićmi. Kożuchy męskie miały obszerne kieszenie; takie kożuchy kupowali ludzie z wiosek. Posiadanie takich kożuchów i butów świadczyło o zamożności gospodarzy. Nawet mówiło się: „Bogata panna, bo ma na wiano kożuch, poduszkę z piór i puchową pierzynę”. Mało się wtedy używało słowa „rolnik”, na takich poślednich gospodarzy mówiono „chłop”.

Przy tych wszystkich transakcjach handlowych zawzięcie klepano się w dłonie i w ten sposób ustalano

ostatnią cenę towaru. Należy zaznaczyć, że świnie i krowy sprzedawano „na oko”, a nie na wagę, a zboże na miarki. Ukoronowaniem transakcji handlowej był litkup. Życzono sobie, aby nowo zakupiony towar z pożytkiem służył nowemu właścicielowi, przepijając często wódką. Taki sam proceder stosowano przy handlu końmi, z tym, że konie przepędzano, zakładano do wozu; w czasie Wielkiego Postu na zakąskę do wódki zamiast kiełbasy były smażone śledzie, które wspaniale przyrządzała Żydówka Hana.

Skutek był taki, że tego dnia dużo osób chodziło pijanych. W swoim żywiole byli kieszonkowcy i różnego rodzaju złodzieje. Zachęcano do gry w karty: czarna przegrywa, czerwona wygrywa, cukierki – para nie para, trzy naparstki. Temu wszystkiemu towarzyszyła katarynka i siedząca na niej papuga lub świnka morska. Korzystając z tak dużego zjazdu, magistrat przekazywał różne informacje: uderzano w duży bęben, co oznaczało zbiórkę. Wtedy sekretarz magistratu odczytywał różne zarządzenia i wiadomości. Był to dzień spotkań sąsiadów, znajomych, często rodzin z całej okolicy. Trzeba wziąć pod uwagę, że prawie połowa ludności nie umiała czytać i pisać. Pisanie listów i czytanie gazet było rzadkością. Pisaniem trudniły się specjalnie kobiety, które za taką usługę brały jajka, ser, śmietanę. Radio było luksusem – w całym mieście było kilka odbiorników z głośnikiem i kilka na słuchawki. Ale może to i dobrze – naród miał lekką głowę, pozbawiony stresów wielkiego świata.

Rozsiadano się na furmankach, z małych butelek rozlewano wódkę, wyjmowano jedzenie – śmiechy, żarty. To miało swój urok. Ten jarmarczny szum trwał do późnej nocy nim się wszyscy rozjechali. Na drugi dzień rannik rolnicy zbierali nawóz, świnie z prosiętami raczyły się resztkami rozrzuconej żywności. Jeszcze minął cały następny dzień, zanim to wszystko doszło do normy.

Były też i ciemne strony tego okresu. W święta przy kościele, w dzień jarmarczny przy hali stały długie szeregi ludzi proszących o jałmużnę; naród ubogi, wielu było tak zwanych dziadów, chociaż między nimi było też dużo kombinatorów. Jedną taką dziadówkę napadli bandyci, zabierając jej 11 tysięcy złotych srebrem, bo takie były w tym czasie monety. Nosiła to na plecach w tobołku. Dla orientacji podam, że morga ziemi kosztowała 500 złotych.

Rozboje za miastem były częstym zjawiskiem, trafiały się morderstwa. Zabito nawet listonosza, który odebrał pocztę z wagonu PKP na stacji w Szczepieszynie. To był okres kryzysowy, panowało wysokie bezrobocie.

Magistrat raz na tydzień wypłacał tym ludziom jakieś pieniądze, zapomogi – ale to wszystko były za małe kwoty niewystarczające na wyżywienie rodziny. Nie było przemysłu – cukrownia w Klemensowie, którą zbudował ordynat Zamoyski, zatrudniała przez cały rok mało ludzi, trochę więcej w sezonie, ale to już było coś. Ci, którzy stale tam pracowali, zwani kumotrami, zarabiali nieźle. Oni decydowali, jakich ludzi przyjąć na kampanię cukrowniczą. Trzeba im się było nisko kłaniać, by otrzymać pracę na te półtora miesiąca...